

Kronika tygodniowa.

Miały więc święta Bożego Narodzenia, skończył się także i rok 1917., któremu taki rzewny nekrolog poświęciłem w ostatniej kronice, iż omal sam, czytając go po raz drugi w korekcie, nie rozplakałem się serdecznie. Jeśli tego zaś nie uczyniłem, to tylko ze względów daleko posuniętej oszczędności, by nie zbrukać chustki, która wedle rozporządzenia mej czełgodnej połowicy ma wystarczyć na cały tydzień, co mi zresztą z iatwocścią się udaje, gdyż sam jej środek zajmuję o romna dziura, otoczona tylko wąskim rąbkiem pocięnym, przypominającym dawne, przedwojenne czasy.

Wychodząc ze zaady, że *de mortuis nihil, nisi bene*, starałem się o ile możności orzekać patwiec niebaczny, poruszyłem też przeważnie tylko kwestie natury aprowizacyjnej, więc bardzo niewinne, inne zaś zostawiłem sobie na później, z strachem gaję się wraźnie, że do tego tematu powrócę, choćby nawet w roku następnym, tymczasem dławieć setnym osmuastym, który wedle moich odczuć powinien być pierwszym rokiem pokoju. A wnoszę to choćby tylko z tej okoliczności, że właśnie król Mikołaj czarnogórski zachorował na zapalenie płuc, przebył je, dzięki Bogu, szczególnie i celem dalszej kuracji wyjechał podobno do neutralnej Szwajcarii, gdyż koalicyjne powietrze francuskie, połączone z przymusową dyetą, absolutnie mu nie służy. Ponieważ zaś wiem, że król Mikołaj ma głowę i to nawet stosunkowo dużą, a w tej głowie mózg pierwszorzędnej jakości, owa więc jego słabość musiała mieć jakąś głębszą przyczynę, czyli, innymi mówiąc słowy, objawiła się na tle politycznym. Tyle razy dał nam już Mikołaj dowody dobrego węchu, że jestem prawie pewny, iż i teraz się nie pomylił i zachorował w sam czas. Raz się tylko poszkapili, a to wówczas, gdy się dał wpłatać w wojnę europejską, z której wyszedł bez... korony i berła, ale to go tłumaczy, że zmuszony był do tego względami familijnymi, skoro w tem przedsięwzięciu zaangażowaną była cała jego bliższa i dalsza rodzina.

I teraz też, przypuszczam przynajmniej, zwachawszy pismo nosem, że na przyjaźni z koalicją nie robi interesu, bo ruble, franki i funty szterlingi spadają na kursie, a marki i korony idą natomiast w górę, wolał wyzwolić się z pod nie bardzo pożądanej dlań opieki przyjaźni politycznych i znaleźć się w Szwajcarii, której neutralne powietrze może bardzo skutecznie oddziaływać na zmianę jego przekonań politycznych.

Wszystkie dane przemawiają za tem, że szanse mocarstw centralnych stają się coraz lepsze, więc też jego rozum polityczny i ów wyżej wspomniany „dobry węch” każe mu być przygotowanym do odegrania roli nawróconego grzesznika.

W ten sposób tłumaczę sobie zasłabnięcie Jego Królewskiej Mości, lekki przebieg choroby i szwajcarską rekonwalescencję i z tego właśnie wnoszę, że pokój jest już niedaleki i to pokój na warunkach dla nas korzystnych, z czego cośkolwiek ma się okroić i dla króla Mikołaja, czekającego tylko na to, by mu ktoś w jakiś sympatyczny sposób otarł łzy, które wylewa nad owym fałszywym krokiem, jaki popełnił, pchając swój nos tam, gdzie nie potrzeba.

Nic też dziwnego, że pewien wybitny polityk i dyplomata, który bawił przed kilku dniami w Szwajcarii, mając sposobność rozmawiania w cztery oczy z władcą Czarnogórza, robił mu z tego powodu zasłużone wymówki. Król przyznał, że popełnił głupstwo i obiecał na przyszłość poprawę, przytaczając na swe usprawiedliwienie, że przecież nie mógł wiedzieć z góry, jaki rzeczy wezmą obrót.

Dyplomata pokiwał na to głową i rzekł:

— Wasza Królewska Mość przypomina mi ogromnie wojenną zapalkę!...

— Czy dlatego, że jestem zbyt łatwo zapalny? — zapytał biedaczysko z tak kwaśną miną, jakgdyby po wyhyleniu kieliszka naszego krajowego węgryna.

— O nie!... Zapalki wojenne tem się właśnie odznaczają, że zapalić je trudno, bo prawie co druga nie ma głowy!...

— To prawda!... I ja byłem również taką zapalką... Ale ja się poprawię i nie palnę już nigdy podobnego głupstwa!... Niech się biją inni, jeśli im to dobrze robi!... Ja wyszedłem na tej wojnie gorzej, niż ów Zabłocki na mydle, albo pewien pan radca na kuterolu... Bo i cóż mam z tego?... Nie mańno nawet czasu zająć się mą starościną i przyznaniem mi choćby tylko honorowej emerytury!...

Jeżeli i reszta koalicji zapatrywałaby się w ten sam sposób na sytuację, a nie jest to bynajmniej wykluczone, moglibyśmy cieszyć się nadsziedzą, że wzięty w łeb lata udręki i niepokoju, a z rokiem 1918. roz-

poczyna się nowa era, era pokoju i naprawy tego, co poszło w niwecz dzięki naszej własnej nieogłędności i niedbalstwu.

Król Mikołaj żałuje swojego fałszywego kroku, żałuje go z pewnością i drugi Mikołaj, stulący swe zapaly na Syberii, a w ich ślady mogłoby pójść bardzo wielu innych, zwłaszcza zaś ci, którzy dziś dopiero, gdy wojna ma się ku końcowi, przychodzą do przekonania, że właściwie sami nie wiedzą, jakie powody wówczas nimi kierowały, gdy dolewali oliwy do ognia, który ogarnął wnet cały świat, nie tylko staruszkę Europę... Gdyby byli wcześniej zastanowili się nad tem, można było uniknąć wiele złego!... Ale trudno, co się raz stało, już się nie odstanie, niechajby bodaj rokowania w Brześciu Litewskim uwieńczyły pożądany skutek.

W tamtą stronę zwrócone są oczy całego cywilizowanego świata, który żywi nadzieję, że i reszta koalicji pójdzie za przykładem Rosji i zgodzi się na warunki pokojowe, dla obu stron jednakowo honorowe i korzystne. Jeśliby bowiem tylko jedna strona miała wyjść obronną ręką, byłoby to zapowiedzią nowych nieporozumień na najbliższe czasy. Europa ma już chyba dość tej wojny, a jeżeli Ameryka szuka sposobu ności do wyładowania nagromadzonej energii, niech nam da spokój, a wężmie się za bary z Japończykiem. Wówczas my ogłosimy neutralność, by zrobić dobry interes na dostawach dla stron walczących i bodaj w części powetować te straty, jaki dotąd ponieśliśmy.

Aby to przecież stać się mogło, koniecznym jest pokój w Europie, który, oby nam jak najrychlej zaświtał. To jest moje jedno i jedyne życzenie, z jakim się dziś zwracam do wszystkich P. T. Czytelników, tak tych, którzy już prenumeratę za *Nowości Illustrowane* zapłacili, jak i tych, którzy to w najbliższej przyszłości uczynić zamierzają. Niechaj się zaś spieszą, kto bowiem do tego a tego dnia prenumeraty nie nadesłże, ten już następnego numeru nie otrzyma (tak przynajmniej ogłasza Administracja...), a trzeba o tem zawsze pamiętać, że teraz każdy numer może przynieść pożądaną wieść o pokoju, której pozbawionym będzie ten, kto zalega z przedpłatą!...

Zaczynamy więc rok 1918. stosunkowo pod lepszymi auspiciami niż moglibyśmy to powiedzieć o jego poprzedniku, który, świeć Panie nad jego duszą kolorowymi latarniami, należy już, dzięki Bogu, do przeszłości. Następca, jeżeli chodzi mu o reputację, nie powinien się wzorować na poprzedniku, a mając przed oczyma jego dzieje, łatwo będzie mógł wystrzegać się tych błędów, które tamtemu tak spaskudziły konduitę.

Tyle słów powitania — sądzę — powinno wystarczyć. W ciągu roku będzie się miało sposobność pięćdziesiąt dwa razy jeszcze o nim wspominać. trzeba więc zostawić nieco tematu i na późniejsze czasy, stosując się do wypróbowanej zasady doświadczanego aptekarza, który lekarstwo, aby pomogło, każe zazywać co godzina po łyżce.

Zmieniam więc temat i wracam jeszcze raz do roku ubiegłego, aby złożyć sprawozdanie, w jaki sposób spędziłem święta Bożego Narodzenia.

Przeszły zaś mi one, jak to powiadają, jak z bicia strzelił. Zapomniałem już o nich zupełnie i to jest właśnie różnica, zachodząca między rokiem 1917. a poprzednim. Po inne lata, przed wojenką, dogodził sobie zwykły człowiek w tym czasie należyte, pamiętał też święta, lecząc się z niestrawności, co sobie zwłaszcza panowie aptekarze bardzo chwalili, gdyż im to właśnie robi bardzo dobrze, gdy się przejdzie z domowej kuchni na łacińską.

Ze tak było w tym roku, a nie inaczej, to jest, że nikt sobie nie przeładował żołądka ani jadłem, ani napojem, choć święta są specjalnie na obżarstwo i pijalstwo przeznaczone, temu winna wojna i nikt inny, tylko wojna. Sam nie miałeś co włożyć w jadaczkę, trudno więc było dzielić się tem jeszcze i z bliźnim. Cnota staropolskiej gościnności nie wygasła bynajmniej w naszym społeczeństwie, ale nie znalazła odpowiedniego pola do popisu. Witano się gorąco odwiedzających, ale nie przyjmowało się ich zimna nawet przekąską, tłumacząc się ciężkimi czasami i obiecując poprawę, „niech się tylko raz skończy ta przekłeta wojna!...”

Wieczór wigilijny, którym się każdy z nas, młody czy stary, tak cieszcy, smutny był tego roku i bynajmniej nie „szczodry”. Opatkę znalazł się wprawdzie (były to resztki zapasów z roku poprzedniego...), ale też i na tem koniec. Połamał się z Weronisią, życząc sobie wszelkich wszelakości, ale lepszych, niż tegoroczne, daliśmy sobie nawet i buzi z dubeltówki, jak na kochających się małżonków przystało, a potem... potem opowiadaliśmy sobie, jak to po inne lata smakowały liny, karpie szczupaki!... Tego roku dbający o nasze zdrowie magistrat, zamiast postarać się o rybki dla ludności, ogłosił, że ich nie będzie gdyż z Zatora popłynęły sobie na Zachód. Magistracki aprowizator spóźnił się, jak zwykle, gdyż inni tymczasem

ryby wykupili, zanim on się po nie zgłosił. U handlarzy można było nabyć nawet weale piękne okazy, ale po cenie bardzo słonej, nie każdy więc mógł sobie na podobny zbytek pozwolić. Wystarczy powiedzieć, a raczej napisać, że za kilogram szczupaka musiało się płacić po dwadzieścia koron.

W ostatecznym wypadku może karpia lub szczupaka zastąpić zwykły śród, ale i śródzi w tym roku też brakło, ockad pan Branting zakazał ich wywozu do środkowej Europy, choć obrodziły w tym roku podobno, jak nigdy dotąd. Pozostały więc tak popularne dawniej „moskale” i sardynki. Z Moskalami jesteśmy obecnie (przynajmniej aż do 14. stycznia, godzina dwunasta w południe) na dobrej stopie, zjadać się ich więc nie powinno, pozostają więc z konieczności sardynki, łączące się do koalicji, więc zasługujące na zagładę. Ale i ich też brak, a jeśli który kupiec ma jeszcze jakowyś zapasik, to po cenie nie przystępnej wogóle dla zwykłego śmiertelnika.

Ale jakoś odeszło się bez ryb, co nawet każdemu może tylko wyjść na zdrowie. Ponieważ nie było ryb więc też pływać nie potrzebowały, obeszło się i bez pijalstwa, kto miał sacharynę, napił się szklanczkę tak zwanej herbaty i był zupełnie zadowolony.

Co jednak gorsze, nie było strucli, babek, placków i tym podobnych smakołyków, będących zawsze dumą każdej gospodyni. Pół kilograma maki na głowę, do tego brak cukru, jaj i tłuszczów, oto powód, dla którego stół wigilijny, pozbawiony był swych zwykłych ozdób. Siedziały wprawdzie baby koło stołu, ale żywe, tych rumianych, wyruszanych, pulchnych na stole nie było.

Nawet kny, tak spokojne dotąd stworzenia, wzięty do łba i ani rusz pamiętać o tem, co jest ich obowiązkiem, to jest o znoszeniu jaj. Zastrejkowały, nie oglądając się nawet na taryfę maksymalną, wobec czego tak popularny dotąd artykuł spożywczy, stał się dostępnym chyba dla milionerów, dostawców lub funkcyjaryszy różnych centrali.

Łyknął więc człowiek ślinę, lizał łapę i przeżuwał dawne wspomnienia, co miało ten bodaj dobry skutek i następstwa, iż sobie żołądka nie zepsuł, choćby nawet obdarzyła go matka natura jak najbardziej finantaryą... Ruch poświąteczny w aptekach był też wobec tego bardzo słaby, z czego cieszy się może pan fizyk, ale się smuć panowie pigularze.

Noc wigilijną, ze względu na ową przymusową dyetę, przespał też każdy zwykły śmiertelnik snem sprawiedliwego. Bli naturalnie i tacy, którzy oddawali się obżarstwu i pijalstwu, więc sen potem mieli niespokojny, ale takich można policzyć na palcach.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia zwykły był człowiek zjadać pozostałości ze stółu wigilijnego, a potem odbywać wędrowkę po zaajomnych. W tym roku nie było czem posilić się w domu, ani czem ugasić pragnienia, a o odwiedzinach znajomych to nie ma co mówić. Jeżeli zabłądziłeś gdzie i zastateś państwo w domu, patrzano na cię tak młem okiem, jak na psa w kościele i czekano, kiedy się wywiesiesz.

Spróbowałem i ja szczęścia tu i tam i przyznać muszę, zawiódłem się bardzo przyjemnie. Byłem w trzech domach, w trzech różnych dzielnicach rozszerzonego Krakowa i wszędzie przyęto mnie nie tylko grzeczni słowy, ale nawet i gorącą, przedwojenną przekąską z odpowiednią ilością przeważnie piwnej wilgotności. Na tem więc miejscu składam publiczny hołd ich cnotom obywatelskim, żalując bardzo, że nazwisk ich nie mogę podać do wiadomości ogółu, jako wzory cnot staropolskich, godne naśladowania, choć żaden z nich polskiego nazwiska nie nosi!... Czynię to zaś tylko ze względu na ich skromność, zdobiącą tych zacnych obywateli nie gorzej, niż owego historycznego Arystydesa.

W każdym razie zabawił się człowiek i uciewiwie i godziwie, nie boli go też głowa, ani żadna inna część cielesnej powłoki, po inne lata po świętach domagająca się gwałtownie reparacji, choćby tylko przy pomocy należącego dziś do mytów... oleju rycynowego. Dziś bez niego obejść się łatwo, ale dziś znalazł się w całym mieście tylko trzech męłów sprawiedliwych, gdy dawniej bywał ich cały legion!...

Drugi dzień świąt nie był zgoła podobnym do pierwszego, nie znalazło się bowiem ani trzech „sprawiedliwych”, wszędzie natomiast odprawiano cię z kwitkiem, twierdząc, że „państwo wyszli i niewiadomo, kiedy wrócą...” albo „państwo od tygodnia bawią w Zakopanem!...”

Wobec czego nie pozostało nic innego do zrobienia, jak zatrąbić na odwrót w domowe pielesze, gdzie się należało już zająć przygotowywaniem kroniki na następny tydzień. Przy tej sposobności nleciało w niebiosy niejedno westchnienie, by ta przebrzydła wojna już raz się skończyła i nastały lepsze, znośniejsze czasy.

Co, aby jak najrychlej się spełniło!

